

Irena Milewska  
z d. Wyszyńska  
ul. Dziesięciny 3m64.

maget Stanisław Siauła, Białystok

I/161A

**ARCHIWUM Wschodnie**

Urodziłam się w 1926 roku w Białymstoku. Mój ojciec był policjantem a mama prowadziła gospodarstwo domowe. Ojca aresztowano tuż przed świętami Bożego Narodzenia - 19 grudnia 1939 roku. Miałam wówczas 13 lat. Pamiętam dokładnie kulkugodziną, dokładną rewizję, przeprowadzaną przez sowieckich żołnierzy, którzy mieli na głowach spiczaste czapki. Od chwili aresztowania ojca nigdy go nie widzieliśmy ani nie mieliśmy od niego ani o nim żadnych wiadomości.

Nas, tzn. mamę, mnie i młodszą siostrę/8 lat/ wywieziono 13 kwietnia 1940-go roku. Zabierający nas żołnierze ironizowali: "Nie musicie nic brać. Tam, gdzie jedziecie, czeka na was wszystko."

Na miejsce przeznaczenia dotarliśmy tuż przed pierwszomajowym świętem. Pamiętam, że tuż po naszym przyjeździe odbyła się huczna akademia z tej okazji. Zamieszkaliśmy w "pasiołku" w Białojarskiej obłasti w ziemiance jednego z kołchoźników.

Mama miała 34 lata i była ciężko chora. O pracy nie mogło być nawet mowy, co przyznawały nawet miejscowe władze. My, jako nieletnie, też nie mogliśmy pracować. Mama ustawicznie żebrała aż z wycieńczenia trafiła na półtora miesiąca do szpitala w Akmolińsku. W tym czasie opiekowali się nami zupełnie bezinteresownie zupełnie obcy ludzie.

Po jakimś czasie przeniesiono nas do kołchozu w Akmolińsku. Tu, aby przeżyć, koniecznie trzeba było kraść, zwłaszcza kłosa na polu. Mieszkaliśmy w bardzo dużym baraku. Mówiono, że mieści on 2 tysiące zesłańców. Wszystkie pomieszczenia były zastawione wielopiętrowymi pryzkami. Szalały tu epidemie, insekty i pluskwy. Ludzie pokryci strupami, musieli obcinać włosy. Śmierć była zjawiskiem codziennym, zwłaszcza wśród dzieci m.in. na

błonnicy. Do dziś pamiętam dziecienny cmentarz w stepie, wśród wysokich traw.

Z nami na zesłaniu byli:

-Krysiewicz Zdzisław z Białegostoku,

-p.Garncarz - żyje nadal w Białymstoku, bardzo wiekowa staruszka.

Z kołchozu w Akmolińsku przeniesiono nas na "rozjazd 94". Była to zwykła budka dróżnika kolejowego, w której wypadło nam mieszkać pospołu z innymi rodzinami. Dokoła rozciągał się głuchy step. Aby nie umrzeć z głodu, chodziliśmy do odległych o jakieś 10 km stogów niedokładnie wymłóconej słomy. To nas utrzymywało przy życiu. Można też było pracować w kołchozie, w którym zatrudniano dzieci do zbierania kłosów po żniwach. Wszystko to były półśrodki i nie usuwały zagrożenia na stałe. Młodzież, która miała ukończone 18 lat, wyjeżdżała do Andersa. Siostra i ja tego oczywiście zrobić nie mogliśmy. Wreszcie dopisałam sobie kilka lat, aby uzyskać stałe zatrudnienie. Pracowałam m.in. na kolei przy załadunku gliny na wagony. Była to niesamowicie ciężka praca zwłaszcza dla mnie, dziecka. Bardzo często miewałam krwotoki z nosa a pracująca obok Ukrainka wrzeszczała: "dopisałaś sobie lat, to teraz pracuj. My za ciebie pracować nie będziemy." Zresztą miejscowi a zwłaszcza Ukraińcy szczególnie nie lubili nas, Polaków. "Polackije mordy" było określeniem tak często spotykanym, że przestałam na nie emocjonalnie reagować. Kiedyś z siostrą pojechałyśmy pociągiem "na gapę" do Akmulińska. Po drodze zainteresowała się nami banda nożowników. Gdy zorientowali się, że jesteśmy Polkami, przybrali tak groźną postawę, że skokiem z jadącego pociągu uratowałyśmy życie. I tylko dlatego, że byłyśmy "Polackije mordy." Kiedyś zachorowałam. Miałam 40° gorączki. A mimo to do izby przyszedł nadzorca i siłą wyrzucił mnie do pracy. Tylko śmierć mogła uwolnić człowieka od tego obowiązku.

W tym czasie mama zebrała po okolicznych kołchozach. Koszto-

wało to nas wiele zdrowia i nerwów:wróci czy nie wróci żywa?  
Przyniesie coś do jedzenia czy nie przyniesie?

Głód był tak straszny, że aż nie do opisania. Często czatowałyśmy na wyrzucane łupiny, które później gotowałyśmy i piłyśmy wywar. W sytuacji beznadziejnej wydłubywałyśmy z krowiego łajna nieprzetrawione w bydlęcym żołądku ziarna, myłyśmy i jadłyśmy. Było to chyby dno ludzkiego upodlenia. Moim i nie tylko moim marzeniem było raz, chociaż raz najeść się do syta chleba i ziemniaków.

Gdy nas załadowano do transportu jadącego do Polski, nie wierzyliśmy. Podejrzewaliśmy, że przewożą nas do nowego miejsca zesłania. Gdy jednak transport minął Ural, zaświeciła nieśmiała nadzieja że może jednak?

Wróciliśmy do Polski /do Białegostoku/ w kwietniu 1946 roku. Tak więc byliśmy na wygnaniu równo sześć lat. Po powrocie pracowałam początkowo w Wojewódzkiej Komisji Planowania Gospodarczego a następnie w Sądzie Wojewódzkim, skąd odeszłam na emeryturę. Moja mama żyje nadal, ma 85 lat. Mieszka, podobnie jak i ja, w Białymstoku.

Notowce: Stamiłow Sianko